

Zbigniew GŁODZIŃSKI
Redakcja Literacka

Data: 13 września 1981 r.
Godz.: 16.05 - 17.30

Główny Komitet Prasy
Pisarzy i Wędrowników
Delegatura w Bydgoszczy
ustala środki na wykonanie
i rozprawczynie
Wz.3
Data 11.11

NIEZWYKŁY OSOBOWY
=====

Jeszcze nie zachodziło słońce, ale jego odblask już nie raził
oczu, słońce ślizgało się po ścianie, lekki wiatr za oknem poruszał
krzewem bzu. Zdrzemnąłem się na parę minut, o tej porze poczekalnia
była wyludniona, tylko pod ścianą siedzieli tamci dwaj, coraz bar-
dziej głośni. Tak, chyba oni mnie obudzili - pomyślałem, lecz w tej
samej chwili dostrzegłem wpatrującego się we mnie człowieka. Jego
szykowny ubiór nie mógł pomóc twarzy, której się nie pamięta, ręka
z kuflem i łysina, wszystko to było nijakie i mdłe, więc prawie
natychmiast poszukałem wzrokiem zapisu wiatru na ścianie. Gonitwa
słońca i cieni sprawiała, że powietrze stawało się bardziej świeże
i nawet wydawało się, że przez podwójne szyby przenika zapach bzu.
Zapomniałem na chwilę o człowieku z piwem, o podróży. Ukośne pro-
mienie znalazły drogę do mojej twarzy- znów odwróciłem głowę.
On wpatrywał się we mnie coraz bardziej intensywnie, aż naraz ruch
jego źrenic zdradził podjęcie decyzji. Przysiadł się do mnie, wycią-

gnął papierosy.

- Ma pan przesiadkę?

- Nie, czekam na kierownika budowy.

- Będzie pan mieszkać w naszym mieście?

- Tak. Jestem elektrykiem - skłamałem gładko.

Widać było, że moje słowa uspokoiły go.

- Wypije pan piwko? - zapytał wykonując zapraszający gest.

- Wypiję.

Przeszliśmy do bufetu, nie pozwolił mi zapłacić. Jeszcze wówczas nie traktowałem poważnie tej figury, moja dziwnie uśpiona czujność dała znać o sobie później. Piwo niewiele różniło się od wody a jego jedyną zaletą było dobre schłodzenie.

- A pan? - spytałem od niechcienia, aby coś powiedzieć - pan tu mieszka?

- Tak, od dawna.

- Pracuje pan na dworcu?

- Nie - odparł wpatrując się w złotawy płyn.

Uświadomiłem sobie naraz niestosowność pytania i aby załagodzić je, odezwałem się ponownie.

- Ciepło dziś, pomimo wiatru. Chyba nigdzie nie ma piwa, tylko podróżni mają szczęście.

- Tak - podniósł oczy - podróżni mają szczęście.

Zdziwiło mnie trochę jego zachowanie, sądziłem, że po pierwszym hańsacie nastąpi ulewa zdań. Domyśliłem się jednak, że chce mi coś powiedzieć, jeszcze nie przypuszczałem, że jakiegokolwiek rewelacje z ust tego faceta mogą mieć dla mnie znaczenie.

- Ma pan trochę czasu? - uśmiechnął się zachęcająco.

- Mam - wyostrzyłem słuch - dlaczego pan pyta?

Zawahał się. Staliśmy w kącie, oparci o ladę, parę osób utworzyło kolejkę.

- Pozwól pan ze mną - nagle przełamał się - mam pół litra, jeśli pan nie pogardzi.

- Nie pogardzę...

- Czy ma pan gdzie mieszkać?

Udałem głębokie zastanowienie.

- No, jeszcze nie mam wyboru, na razie w hotelu.

- Może u mnie coś się znajdzie, jeśli lokator dziś się wyprowadzi.

- To chodźmy - ożywił się - chodzi o coś jeszcze.

- Słucham?

- Przy okazji obejrzy pan moją instalację. Jest pan przecież elektrykiem.

Właśnie wtedy pierwszy raz spostrzegłem się, miałem przy sobie większą forszę. Może to fakt, że dwaj pijani z poczekalni otarli się o nas i stanęli obok a może to, że zapamiętał mój zmyślony zawód?

- Pójdziemy sami - zastrzegłem krotkó.

- Sami, pewno, że sami.

Wyszliśmy na powietrze. Wzdłuż peronu, po obu jego stronach ścigały się jaskółki.

- Wiatr coś nagna - trafił w moje myśli.

Później już w milczeniu mijaliśmy skromniutką stację, rozjaśnione tory. Budynek stacji rzucał coraz dłuższy cień, od zachodu nadciągała chmura. Dawno nie było deszczu i kurzyło się niemiłosierdzie. Weszliśmy w uliczkę i sam przed sobą nie mogłem wytłumaczyć faktu, że dałem się tak bezwolnie prowadzić nie wiadomo dokąd i nie wiadomo z kim. Byłem niezłym fizjonomistą, rzadko myliłem się w tych sprawach, więc chyba uwierzyłem w uczciwe zamiary nieznanego.

- Daleko pan mieszka?

- Nie, jeszcze sto metrów - uśmiechnął się i ten jego smutny, zniewalający grymas podsunął mi inne domysły.

- Słuchaj, przyjacielu - powiedziałem - jeśli mamy razem wypić wódkę i pogadać o mieszkaniu, zgoda. Ale jeżeli mnie nabierasz, bo jesteś pedałem, dostaniesz lanie.

Wymówiło mi się to jakoś lekko, niemal pieszczotliwie, jednak gdyby mnie odbiorca tych słów znał dobrze, wiedziałby, że nie są to zdania rzucone na wiatr. Zatrzymaliśmy się na chwilę, spojrział mi prosto w oczy.

- Mam żonę. Mam żonę, domek i ładny ogród. Proszę nie myśleć o mnie takich rzeczy.

- No, uważajmy - rzuciłem już ^{bez}groźby w głosie. Jego zapewnienie brzmiało dziwnie szczerze, domek, ogród a nawet żona nie stanowiły żadnego argumentu, ale właśnie dlatego mnie przekonały.

Ruszyliśmy dalej przez mały, typowy rynek z wielką studnią i ^{nie}czynną fontanną w środku. W rynku stały trzy taksówki i dorożka i ucieszył mnie widok tej dorożki zaprzęzonej w dwa dobrze utrzymane siwki.

- On zarabia na ślubach - usłyszałem głos. - Przyjeżdżają nawet z daleka.

- Ja też bym przyjechał.

Zamialiśmy znów aż do chwili, w której cel nasz został osiągnięty. Domek naprawdę prezentował się okazale, może nie tyle ~~na~~ sprawą architektury, ile położenia i starannego utrzymania. Obok bramy stała bagażówka, skojarzyłem to sobie z mającym się wyprowadzić lokatorem.

- Już odjeżdżacie? - mój przewodnik zwrócił się do opartego o skrzynię kierowcy niedbale.

- Za moment, szefie.

- Już wszystko zabrane? - upewnił się jeszcze.

- Wszystko, wszystko. Ten gość zaraz zejdzie z góry.

- Proszę - właściciel jakby przyśpieszył kroku, szedł przodem, wyglądało na to, że nie rozstaje się w zgodzie z lokatorem i pragnie uniknąć spotkania w drzwiach.

Wnętrze było równie przyjemne, choć bez wyszukanego stylu. Nowe meble, miękkie dywany, firany i zasłony dobrej jakości. Pokój, w którym siedliśmy, miał okna wychodzące na ulicę, firanka wydymała się lekko, zanim gospodarz nie zamknął drzwi. Jakoś trudno mi było skojarzyć sytuację sprzed kilkunastu minut z panującym tu ładem i spokojem, z butelką pitą na zaskok czy na uśpienie.

Prócz pieniędzy miałem jeszcze inne, poważniejsze powody do zachowania ostrożności, dlatego mile rozczarowała mnie etykieta jednego z lepszych "napoleonów". Pomyślałem, że w końcu trzeba odrzucić nierealne obawy i odprężyłem się zupełnie.

- A pańska żona? - zapytałem.

Nie patrząc na mnie napełnił szkielka, wolno postawił butelkę.

- Przyjdzie za pół godziny.

Już wcześniej dojrzałem portret ładnej, młodej brunetki.

- Czy teraz też jest brunetką?

- Ach, tak... - moje pytanie najwyraźniej go zaskoczyło i dopiero po kilku sekundach rozjaśnił twarz błyskiem zrozumienia.

- Tak, to ona. Zdjęcie sprzed dwóch lat. Nie farbuje włosów.

- Nie trzeba było wielkiego psychologa, aby wyczuć niedomówienie. Jednak już nie pytałem o ^z tą kobietę, postanowiłem ^z poczekać na jej powrót, aby wywnioskować coś z ich rozmowy, ze sposobu zwracania się do siebie. Tymczasem mówiliśmy i polityce, budowie kombinatu, o małomiasteczkowych sprawach i pracy, którą miałem wykonywać. Nie dało się ukryć, że gospodarz starannie omija właściwy temat, że najzwyczajniej w świecie czeka na działanie alkoholu, który pomoże mu przebrnąć gąszcz jakichś tajemniczych przeciwności.

Postanowiłem nie ułatwiać mu tego, więc dalej sęczyliśmy dobry koniak, w pewnym momencie spojrziałem na zegarek i stwierdziłem, że upłynęło pół godziny a pani domu nie pojawiła się, natomiast hałasy z piętra i schodów świadczyły o tym, że wyprowadzać się bynajmniej nie jest łatwo.

- Ile pan ma lat? - zapytał mnie niespodziewanie.

- Dwadzieścia osiem.

- Napewno nie jest pan żonaty?

- Nie.

- To dobrze.

- Dlaczego dobrze? - nie wytrzymałem, wreszcie należało zaatakować.

Zasępił się, nie mógł tego wyjawić.

- Dowie się pan. Musi pan wiedzieć, przecież o to mi chodzi.

- Czekam - powiedziałem sucho, mój głos nie zdradzał niczego poza chłodną obojętnością.

- Trochę później - wymamrotał. - Proszę mi wybaczyć, to nie jest takie proste.

- Taka skomplikowana instalacja, czy mieszkanie bez dachu?

Właśnie wtedy, nie mogąc doczekać się odpowiedzi, postanowiłem wyjść pod pretekstem załatwienia ważnego telefonu,

Zorientowałem się, że w tym domu nie ma aparatu, więc wszystko wyglądało wiarygodnie, musiał powiedzieć, skąd mogę wykręcić. I oto przy odległej o sto metrów budce zobaczyłem jeszcze raz stojącą bagażówkę. Młody człowiek zapewne ów lokator wydzwaniał do kogoś zawzięcie a kierowca wlepił we mnie rybie oczy.

- Pan ma tam mieszkać? - zapytał.- Może będzie trzeba co podrzucić?

- Na razie nie, jeszcze nie zaklepane.

Tamten odłożył słuchawkę.

- To ten pan? - zwrócił się do kierowcy.

- Ten.

Spojrzeli po sobie wymownie. Zorientowałem się, a właściwie od początku jasne było, że coś nie jest w porządku, teraz jednak mogłem znaleźć rozwiązanie dziwnej sprawy. W sferze moich domysłów była kłótnia, może zazdrość o żonę. Wysoki, dobrze zbudowany chłopak podszedł bliżej.

- Powiedzieć? - zapytał kierowcę, jakby wszystko zależało od tego, czy gruby facet o wylupiastym spojrzeniu zgodzi się na stratę spodziewanego kursu.

- Niech da przeciętną i tak mu się opłaci.

- Dam. Jasne, że chcę wiedzieć.

- Od kiedy go pan zna? - upewnił się jeszcze.

- Ogi godziny.

- A ja od tygodnia. Usiądźmy w szoferce.

Wcisnąłem się jakoś, żaden z nas nie był ułomkiem. Kierowca uśmiechał się, siódmy numer jego bagażówki mógł być ostatni w tym miasteczku, w którym wszyscy zapewne znali się bardzo dobrze.

- Mów pan, niech to będzie na pana - zarechotał.

- ~~Oprósz~~-pa Otwórz pan drugie okienko - były lokator zwrócił ku mnie głowę. - Dymu dużo.

Otworzyłem wiedząc już, że usłyszę coś dziwnego. Jednocześnie nie mogłem przecież powiedzieć im, że nigdy nie miałem zamiaru tam zamieszkać.

- Co, leci na chłopaków? - zapytałem, aby ułatwić temu solidnie wyglądającemu młodzieńcowi opow^eścić.

- Gorzej - pokręcił głową. Zaciągnął się jeszcze raz, popatrzył przed siebie. Przyjechał przed tygodniem i podobnie jak ja poznał na dworcu właściciela domku. Wynajął pokój i przez dwie doby wszystko było w najlepszym porządku. Dopiero kiedy z kilkudniowego pobytu we wsi miała przybyć jego żona, zaczęło się. Wypili

wtedy wódkę i stary najpierw opowiedział mu o swoim spowodowanym przez wypadek kalectwie. Że nic (po nim) babie. No cóż, zdarza się, ale dzieci nie mieli, a żona ładna i młoda. "Co by pan zrobił?" zapytał wtedy. "Nie wiem" - skorzystał z najłatwiejszej formy odpowiedzi. Właściciel mówił dalej. Że jest źle, bo żona zawdzięcza mu wiele, pochodzi z dobrej gospodarskiej rodziny i nie może jako katoliczka tak zwyczajnie go zostawić. A więc sytuacja niemalże bez wyjścia. Choć... wyjście zawsze się znajdzie. Zapytał wówczas jakie to wyjście. Musieli jeszcze sporo wypić, aby mógł poznać całą prawdę. W skrócie rzecz tak się miała. "Chodzi o to, abys mnie zastąpił" powiedział mu i dalej, że jego żona to kobieta młoda i gorąca i że pragnie mieć dziecko. Pomimo sporej porcji alkoholu wytrzeźwiał, kiedy to dotarło do jego świadomości. Nagabywany przez parę następnych dni postanowił wyprowadzić się, aby nie ulegać pokusie, tym bardziej, że stary do tego wszystkiego zaproponował pieniądze.

- Ja tam, panie, nie jestem od tego, ale w ten sposób nie lubię. - zakończył i zgasił nerwowo papierosa.

- Ale frajer, co? Żeby tylko mnie chciała - wyszczerzył się znów kierowca. Obaj teraz z wielkim zaciekawieniem spoglądali na mnie aby ocenić jak wielkie wrażenie wywarła na mnie ta relacja.

- Panie, kobieta młoda i naprawdę ładna, żeby chociaż wyglądała na dziwkę, to jeszcze. Ale tak nie mogę - dodał i uderzył dłonią w pulpit samochodu.

Rzeczywiście, był o parę lat młodszy ode mnie, pewnie dopiero po wojsku. Pomimo kanciastej postury prezentował cechy członka spokojnej, zadbanej mieszczańskiej rodziny.

- No powiedz pan coś!

Nie rozmawiałem z nimi długo. Umówiłem się na jutro na wódkę w pobliskiej knajpie. Czy mogli wiedzieć, że chcę wrócić tam, że muszę zobaczyć przedmiot troski nieszczęśliwego męża?

Zadzwoniłem i otworzyła mi. Nie~~wał~~ Niewiele różniła się od podobizny wiszącej w pokoju.

- Proszę - powiedziała cicho - to pan był u męża?

W blasku żarówek mogłem lepiej jej się przyjrzeć. Włosy miała prawie krucze, rozrzucone na plecy, rzęsy długie, ale cień w oczach nie zależał od ich długości. Bardzo zgrabna i elegancka nie sprawiała wrażenia, że jest aż tak bardzo samotna. W białej, haftowanej bluzce przypominała bałkańską piękność z dawno oglądanego filmu.

- A gdzie jest mąż?

- Śpi, upił się. Nie może tak jak pan...

Przerwała nagle i ukryła twarz w dłoniach, jakby wszystko, co mogła jeszcze powiedzieć, musiało być głupie i dwuznaczne.

- Proszę nie płakać. Wiem wszystko - próbowałem nadać swemu delikatne brzmienie - musi pan coś postanowić.

Podszła nagle ze zmienioną twarzą, z podniesionym czołem.

- Czy pan pierwszy mi to mówi? Mój Boże, ilu ich mnie namawiało, na małżeństwo, na zdradę. Lekarze, rodzina, nawet on sam dawał mi wolną rękę.

- Więc tak jest lepiej? - musiałem być okrutny, nie chciałem przyjąć jej motywacji. - Więc tak po cichu można obrazić także młodego, niedoświadczonego chłopca?

Staliśmy pod wielką, pięcioramienną lampą, ja z natarczywością godną lepszej sprawy, ona z przekonaniem o ważności zachowania pozorów. Za otwartym oknem było ciemno, lampę okrążały drobne ómy.

- Proszę mnie nie osądzać ~~tak~~ - znów była sobą, kobietą z cieniem w oczach, z własną wizją zachowania godności. Jakie prawo miałem tak się do niej zwracać, pytać czy akceptowała wybrańców męża. Czy to, że miałem być jednym z nich wystarczało do brutalnego zaspokajania ciekawości? Skierowałem się ku drzwiom.

97

Patrzyła mi prosto w twarz, nawet mnie trudno było wytrzymać to na
sobie.

- Właściwie chce pan jednego - odezwała się ostro. - Usłyszeć
jak mi żal, że to nie pan. Tylko to mogłoby uleczyć zachwianie pań-
skiej równowagi.

Musiałem wyjść, nie miałem tu już nic do szukania.

- Życzę pani ładnego, zdrowego bobaska - mój uśmiech nie po-
zostawiał wątpliwości. Z ręką na klamce, w otwartych drzwiach poki-
wałem jej ręką. - I naprawdę szkoda, że pani mąż nie potrafił mnie
przekonać.

Coś jakby cień uśmiechu przebiegł przez jej twarz. Czy uwie-
rzyła?

W miesiąc później podczas podróży powrotnej znów przesiadałem
w tym miasteczku. Szedłem przez peron, pchnąłem ubiegłowieczne drzwi.
Zobaczyłem ją jak wychodziła z sali restauracyjnej. Tak, poznała mnie
natychmiast, zatrzymała się a ja przyłapałem się natym, że niespo-
dziewane spotkanie wcale nie było czymś nieprzyjemnym.

- Co pan tu robi?

- Mógłbym zapytać o to samo.

Nie musiała więcej mówić. Czy szukała swego męża? Chciała nagle

powiedzieć mu, że zmieniła zamiary?

- Czy wypije pani ze mną lampkę wina?

W miasteczku była jedna przyzwoita kawiarnia, ale tam przecież nie mogła pokazać się ze mną.

- Poprosiłabym pana do nas, ale nie wiem, jak pan to przyjmie.

- Zgoda, pod warunkiem, że to ja stawiam. Mam w walizce dwie butelki wermutu.

- Niech tak będzie.

W nikłym blasku gazowych latarni, z zapachu czerwca przemierzałem jeszcze raz ową trasę. Dopiero przed domem powiedziała mi, że odprowadziła męża do pociągu. Był to pociąg osobowy dalekobieżny. Nie mogłem już nic uczynić. Mogłem tylko przyjąć zaproszenie, wejść tam i aby po raz drugi nie pić na czyjś rachunek, należało otworzyć butelkę własnego wermutu.